NUMER 28. DNIA 13-go LIPCA 1902 ROKU ROK X.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA

Dies irae, dies illa...

15. Lipiec 1410 roku przedstawia datę pamiętną na kartach naszych dziejów. Siła polskiego ramienia starła na miazgę krzyżactwo, zdeptała z niesłychaną gwałtownością parodję zakonu, — parodję chrześciańskiego sumienia i sprawiedliwości. Na polach Grunwaldu legły komturje po komturjach, — jak pokłosie zżęte żelazną ręką żniwiarza, — powtórzyły się Płowce w odmiennem, — straszniejszem wydaniu. Nawet żywioły sprzyjały Jagiełłowym pułkom, — miotając na wroga dmę i kurzawę, — zaciemniając mu źrenice i szerszy widok, dla objęcia terenu walki. Z tego powodu przytacza Długosz w opisie krwawego dnia wiersz Klaudjusza: O! miły Bogu, same wiatry w zgodzie walczą za Tobą, piastując twe łodzie.... Tradycje wielkiego Piastowicza, Łokietka, — jeszcze raz odżyły, miało się wrażenie, — że spadła głowa od karku wroga, — który mącił ustawicznie spokój na kresach państwa Jagiełły, że wyciągnięto ze zranionej nogi obrzydliwą, zbrudzoną drzazgę... Padł i znicestwił się nieprzyjaciel, który kłamstwem oddechał i zatruwał powietrze całej Europy obłudą, przewrotnością, fałszerstwami i krokodylymi lamentami; padła i znicestwiła się cudaczna organizacja średniowieczna, co z krzyża zrobiła handel i symbol bolu, przebaczenia, cierpienia — zamieniła na kramarstwo, kupczenie, gwałt, judaszowe srebrniki... Stary rycerz z pod Crécy, dusza z ówczesnych najbardziej rogata, myśląca dźwiękami surmy bojowej, pędząca z pola walki na pole walki, — Jan czeski, — musiałby zadrżeć wobec krwawej tragedji u stóp zielonego lasu, owego pamiętnego Grunwaldu... Jednym zamachem starto pierworodny grzech Konrada Mazowieckiego, owego importanta krzyżactwa na dobrzyńską ziemię, — po dwóch wiekach ciężkiej krwawicy, — po Płowcach i niezliczonych przejściach. Granice państwowe otwierały się ku morzu, odwieczne, gniazdowe ziemie piastowskie: Chełmińska, Pomorska, Michałowska, mogły wrócić do macierzy, podniemczone, bogate i wyszkolone przez mnichów - drapieżców, mieszczaństwo wyciągało ramiona do dawnych tradycyj i przynależności politycznej, przeciętej przez bieg wypadków dziejowych. Zanosiło się na potężne rzeczy i mocarstwowe stanowisko, — pierwsze w Europie... Świeżą Unję z Litwą, — przypieczętowaną pod Grunwaldem wspólną krwią, oświeciło słońce od morza do morza... Jeszcze trochę trudów, pochód na stolicę wroga Malborg, wytrwanie do końca, podyktowanie warunków, — a Polska będzie miała raz na zawsze spokój, — pozbędzie się groźb i niebezpieczeństw z tej strony... Nie zaniedbano, zdawało się, niczego... Zwycięskie wojska zatoczyły obóz pod krzyżacką warownią, polskie pociski przelatywały przez komnatę, w której Henryk v. Plauen, — dusza ożywcza w chwilach pogromu, — z resztą kapituły radził nad sposobami ocalenia się od zagłady... Długosz zaznacza, że po zdobyciu zamku „Krzyżacy zginęliby do szczętu“... I ma

zupełną rację, ma podstawę i niezachwiane dowody, że tak, a nie inaczej twierdzi. Dumni komturzy, sam nieugięty Henryk v. Plauen, schodzą pokornie do króla i żebrzą o pokój na warunkach, — o których monarcha nie mógł marzyć jeszcze 15. lipca. Oddawali ziemię Pomorską, Chełmińską, Michałowską i błagali, aby król pohamowawszy swój gniew, „nie żądał zupełnej zakonu naszego zagłady, gdy pychę i wyniosłość naszą dostatecznie już skróciłeś i ukarałeś“. Odrzucono z pogardą i szyderstwem to, czego się oburącz chwycić należało... Krzyżactwo usłyszało harde słowo: zdajcie się na łaskę i niełaskę, — wyzujemy was z wszystkiego, dostaniecie podobne, jak w krajach niemieckich „opatrzenie“. Stracić już nie można było więcej, upaść niepodobna było niżej, — z rezygnacją należało wojnę prowadzić do ostatniego tchu... Los uciśnionym podaje rękę, — rękę wiarołomnego od wczesnej młodości, Kiejstutowicza Witołda.

Niepoprawny wichrzyciel, — prawdziwy Wallenrod naszych dziejów, nauczył się sztuki gmatwania sytuacji, zwodzenia i zdrady, w dusznej atmosferze skrytobójczych zamachów wśród dzielnicowych książąt litewskich, gdy się trzeba było przed światłem dnia kryć, a duszę nosić zamkniętą na dziesięć zasuw. Doświadczony konspirator wycierał łokcie w krzyżackich kapitułach, niósł w miarę potrzeby do Malborga gałęź oliwną lub zarzewie wojny, chadzał u jednego dyszla z Jagiełłą i z nim się rozchodził, naprowadzając na własnę ziemię wroga, pożogę niemiecką i zgliszcza pożarne. Przez zręczne lawirowanie zdołał sobie z czasem na Litwie zbudować samodzielne panowanie, — ogromną dziedzinę, sięgającą od źródeł Wołgi i Dźwiny w głąb naddniestrzańskich stepów. A gdy mu w Koronie przypomniano, że jest lennikiem króla polskiego, pozawierał pamiętne pakta w 1398 r. na salińskim ostrowie wśród wód Niemna z Krzyżactwem i ruszył przeciw Tatarom, aby ich pokonać, a po zwycięstwie ogłosić niezawisłość Litwy i stworzyć swoją własną dynastję... Opatrzność czuwała na szczęście nad Unją... Klęska u brzegów Worskli, straszna, tragiczna, starła w proch ambicje Kiejstutowicza, rozkruszyły się w jego dłoni naraz wszystkie ambicje, jak owoce martwego morza, — przyszło upokorzenie i konieczność ciążenia ku Polsce... Ale na dnie duszy został ogień, zostały wichry i pamięć o potędze wyśnionej, marzenia o separatyzmie, uwieńczonym królewskim djademem. Teraz ten wieczny spiskowiec, lew grunwaldzki, zadrżał na myśl samą następstw pogromu Krzyżaków. Dopóki grały surmy, — dopóki leciały groty i gęste strzały, dał się unieść krwi, nerwom, — dokazywał cudów, rozstrzygnął zwycięstwo, ale gdy wróg legł mu u stóp, gdy się dźwignąć nie potrafił, — wyciągnął dłoń do dawnego sojusznika, aby go wydobyć z ostatecznej desperacji. Grunwald wyzyskany, — to groźba dla Witołda, wzmocnienie ogromne Polski, — osłabienie jego stanowiska... Cóż czynić? Zmienia pociągnięcie na szachownicy, — przewleka z rozmysłem oblężenie Malborga, daje Krzyżakom czas do pokrzepienia się z nawałnicy i odetchnięcia, — wreszcie wpływa na cofnięcie wojsk Jagiełłowych po bezkutecznych wysiłkach i zmarnowaniu najdroższych chwil... Następnie pcha formalnie, demon złego, — do zawarcia haniebnego pokoju toruńskiego, który tak wyglądał, jakby Grunwald był synonimem nieszczęścia polskiego, nie krzyżackiego. Zakon ofiarował Jagielle okup stu tysięcy grzywien szerokich groszy praskich, nadto Żmudź miała pozostać przy Litwie aż do śmierci Władysława i Witołda!... Długosz, przyjaciel i wychowawca wnuków Jagiełłowych, określa dosadnie wartość owych paktów: „Przez największą nieroztropność króla i Witołda, sławne i pamiętne zwycięstwo pod Grunwaldem na nic prawie, owszem na sromotę wyszło, gdyż żadnej królestwu polskiemu nie przyniosło korzyści“.

Sam akt bitwy jest dowodem potęgi polskiego oręża i genjuszu militarnego Witołda, — to, co się z nim bezpośrednio wiąże, — układ toruński, — illustracją niemocy, krótkowidztwa, — inercją... Warto było i tyle krwi wylać i tyle kości rozrzucić na pobojowisku, — ale po okazaniu fizycznej przewagi nie godziło się skapitulować, nie zerwać dojrzałego owocu i wprost przyczynić się do postawienia na nogi tego, kogo się wywróciło i wywrócić trzeba było koniecznie. Gwałtowny ogień zapalił się nad polami Grunwaldu, znalazł ujście w rycerskim pojedynku tysięcznych gromad i zgasł nikłym fajerwerkiem w Toruniu... Jagiełło zmarnował Grunwald, zmarnował lekkomyślnie, — Zygmunt Stary w sto lat z górą później ze względów czysto rodzinnych pozwolił się sekularyzować siostrzeńcowi swojemu Albrechtowi. — a za niedołęstwo i prywatę u góry, — musiało

zapłacić całe społeczeństwo... Historja mówi, że nie dosyć wygrywać bitwy, ale wraz z wygraną, — należy się poświęcać dla Ojczyzny i jej wyłączne dobro mieć na oku... Grunwald był czynem orężnym, nie stał się myślą polityczną, chociaż mógł się nią stać i to tak wspaniałą, wielką, pomnikową, — że pod jej tchnieniem dzieje Polski przybrałyby zupełnie inną postać i na inne poszły tory. Dziś daje nam satysfakcję, żeśmy mieli moc i dużą potęgę, żeśmy bili nieubłaganego i na gruzach polskich rozrosłego wroga... Z za kulis przeszłości jednak wydobywa się zgrzyt, „ohydne i szkodliwe dla Polski — jak mówi Długosz — przymierze z Krzyżakami" (z 1411 r.). Ten błąd był *magna parens* późniejszych, z niego, ze zgliszczów grunwaldzkich odrodził się, jak feniks z popiołów krzyżacki drapieżca, — poczwarka pruskiego ducha i społeczeństwa...

Ernest Łuniński.

JÓZEF JEDLICZ.

Z „Legendy pól".

MUZYKA.

Na klucz zamknę drewniane odrzwia mego domu,
Bo niemy wróg, mój smutek, zbliża się z oddali —
I nie pozwolę drzwi mych odemknąć nikomu,
Kto w święto dnia jasnego śmieje się lub żali.

Daremnie... poprzez blady spokój sennej strzechy
Mknie stłumiony jęk pieśni i weselnej wrzawy,
Brzmi łkanie modrych oczu, grzmią wezbrane śmiechy
I zawodzi płacz skrzypiec, upojny i łzawy —

Niemy ból kładzie białe dłonie na me nerwy
I poczyna grać swoje melodje milczące,
Liście sennych jabłoni wzdychają bez przerwy —
W szybach okien gra złote, rozśpiewane słońce.

STEFAN RYCERSKI.

PUŚCIZNA BRZESZCZA.

(Dokończenie.)

XV.

Ignaś od bardzo dawna nie był w Malińcach. Pani Teresa wiedziała, że z Urbicz wyjeżdżał ustawicznie, a nawet ktoś się przed nią wygadał, że wybiera się gdzieś w dalszą podróż, bo stara się o pasport. I teraz nie było go w domu. Witold jutro miał się z nim widzieć. Mówiła to wszystko Berwiczowi, a on słuchał, jakby przez sen. Nie wiedział może nawet, o czem mówiono, pogrążony w jakiejś zadumie, z której ani pani Teresa ani Marynia i Jadzieńka wyrwać go nie mogły. Oczy jego były szkliste i jakby wpatrzone w myśl jakąś, która opanowała go całego.

Przeciw zwyczajowi późno w noc świeciło się w jego kwaterze. Stary przeglądał papiery, wiele z nich rzucił w piec i spalił, przeglądał rejestra z największą starannością, potem on, co oddawna nie miał z bronią do czynienia, wyjął z biurka rewolwer, zdjął z haka dubeltówkę, opatrzył, spróbował, czy się zamki łatwo spuszczają, i włożył naboje.

Uczyniwszy dopiero to wszystko, położył się i zasnął snem kamiennym. Podobno taki sen zdarza się u skazanych na śmierć, przed spełnieniem wyroku.

Obudził się o zwykłej godzinie, ale obowiązki codzienne wykonywał, jak automat, w ruch wprawiony. Mówił, wydawał rozkazy, pytał, przecież nie zdawał się słyszeć odpowiedzi. Nieraz powtarzał jedno kilkakrotnie, czasem nie dokończył zaczętego zdania, zasłuchany w myśli własne, które zdawały się przysłaniać mu świat cały.

Nad wieczorem przyniesiono pocztę, którą zwykle sam odbierał. Przejrzał ją i pomiędzy listami, jeden szczególniej, zaadresowany do pani Teresy, zwrócił jego uwagę. Niepodobny był wcale do tych, jakie odbierała. Napisany niewprawną ręką, na grubym papierze, zaklejony był opłatkiem.

Berwicz przypatrywał mu się długo, ze słuszną nieufnością, usprawiedliwioną zresztą okolicznościami, w których się znajdowali. Kilka razy brał go w rękę i kładł napowrót, aż wreszcie otworzył z nagłą determinacją. Pierwszy raz w życiu tak postąpił z cudzym listem. Przebiegł go oczyma, szukał podpisu, nie znalazł i szepnął z wyrazem ostatecznego zniechęcenia:

— Więc i to nawet!...

Włożył list do kieszeni i poszedł do domu, niosąc cały plik gazet. Był teraz zupełnie spokojny, z twarzy jego zniknął wszelki cień zamyślenia, troski, walki. Przeciwnie, krok jego był pewny, jak kiedy w bitwie szedł do ataku, przygasłe oczy błyszczały dziwnym ogniem.

We dworze było gwarno. Ignaś przyjechał z Witoldem, uspokojony, że nikt w domu nie wie o porwaniu popadjanki, bo dotąd nie śmiał pokazać się matce. Uszczęśliwiony swoją zdobyczą, wybierał się w podróż, gdyż Naci zechciało się widzieć Paryż. Ma się rozumieć, iż ostrzeżenia i uwagi, podane w najbardziej dyplomatycznej formie przez Witolda, zbył żartami.

Przed matką zmyślił, iż znajome kółko ciągnie go do Zakopanego na parę tygodni i tym sposobem upozorował żądanie pasportu. Siostrom obiecywał najpiękniejsze serdaki i wyroby góralskie, Berwicza prosił, by od czasu do czasu rzucił okiem na gospodarstwo w Urbiczach. Słowem starał się wszystkich zadowolnić, jak ci mężowie, co są najprzyjemniejsi w domu, gdy mają na sumieniu jakie grzechy.

Berwicz słuchał go z zimną krwią, najmniejszym znakiem nie zdradzając, iż podejrzywa prawdę. Podjął się nawet nadzoru, gdyż musiał się opiekować rodziną Szelewicza, która została przez czas jakiś na urbickim folwarku.

— Ale, ale! — przerwał Ignaś, zwracając się do niego — musisz mnie pan odesłać do domu, bo zabrałem się z Witoldem.

Berwicz drgnął. Była krótka chwila milczenia.

— Mogę pana sam odwieść czółnem — wyrzekł powoli. Wybieram się dziś do Szelewiczowej. Kiedy pan chce jechać?

— I owszem! popłyniemy, jak za dawnych dobrych czasów, skoro się księżyc pokaże.

— Za dawnych dobrych czasów — powtórzył Berwicz, zaledwie słyszalnym głosem.

A potem dodał z nagłą determinacją:

— Nie potrzebuję czekać księżyca. Znam przecie Dniepr. Każę zaraz łódź przygotować.

Witold wyszedł za nim.

— Cóż? — zapytał stary — rzucałeś pan groch na ścianę? Młodzi są skłonni do złudzeń.

— Co robić? Co będzie, gdy pani Teresa się dowie? Mów pan. Ja drżę, patrząc na nią. Opętała go ta dziewczyna.

Berwicz rzucił ręką, jakby chciał powiedzieć, że takich ludzi, jak Ignaś, zawsze opęta jaka nieczysta siła.

Nic nie mówiąc, wydobył z kieszeni list odebrany, i pokazał go Witoldowi.

— Anonim! — wyrzekł ten z pogardą.

W krótkich słowach Berwicz uwiadomił Witolda o sprawie krzyża, śledztwie, zeznaniu Jedniewicza i o tem, co mu dziś mówił.

— Ależ w takich okolicznościach — zawołał — denuncjacja byłaby widocznie podyktowana interesem...

Stary wstrząsnął głową.

— Każda zgubić może. To zawsze gratka dla czynowników. A potem, oddawna mają nas na oku. Trzeba tę sprawę załagodzić pieniędzmi, pamiętaj pan o tem, załagodzić jakim bądź kosztem. I niech Teresia nawet o tem nie wie.

Widocznie nad sobą nie panował, bo nazwał panią Marskę zdrobniałem imieniem, jak to czynił, kiedy był z nią sam na sam i nawet zapomnienia nie spotrzegł.

Witold także tego nie podniósł.

— To najgorsza — zawołał — że oni doprawdy marzą o małżeństwie. A z Ignasiem...

— To nie stanie się nigdy — przerwał mu Berwicz gwałtownie — podnosząc w górę zaciśniętą pięść, przysięgam na Boga — nigdy!

Witold spojrzał na niego ze zdziwieniem. Starzec wydawał mu się podniecony, nienaturalny. Ale bo też okoliczności były groźne. Nad spokojnemi w tej chwili Malińcami wisiały gromy.

— Pamiętaj pan o tem wszystkiem, com mówił — zaczął znowu Berwicz, panując nad sobą. — Skoro mnie nie stanie, pan tutaj musisz być wszystkiem.

— Cóż znowu, jesteś pan, dzięki Bogu zdrów i silny.

— Zdrów i silny — powtórzył, prostując się mimowoli — jakby na tę siłę rachował.

Zamyślił się i dodał pośpiesznie z nieokreślonym uśmiechem:

— Brzeszcz był zdrów, silny i młody, a przecież...

— Ależ to był czas wojny.

— Wszyscy jesteśmy w służbie kraju. Masz pan tutaj prawa. Marynia cię kocha... Widzę to dawno... I to dobrze... Ot, muszę pójść łódź obejrzeć... A list ten pan schowaj. W każdym razie lepiej, żeby był w pańskich rękach, niż moich. Mogę przysiądz, że pisała go popadja.

I zwrócił się śpiesznie do ogrodu, gdzie po za grabowym szpalerem stała łódź, przymocowana łańcuchem do pala.

Słońce już zaszło, ale na zachodzie jeszcze była czerwona łuna. Moczary zdały się spoglądać na niego krwawemi ślipiami. Patrzał na nie długo, potem zajrzał jeszcze do siebie po klucz od kłódki. Jednocześnie wyjął z szuflady rewolwer i włożył go do kieszeni. Od progu, obejrzał się po swojej kwaterze, podszedł do łóżka, zdjął fotografję Brzeszcza, poniósł do okna, by dojrzeć zatarte rysy, wargi jego poruszyły się cichą modlitwą. Powiesił wizerunek na miejscu i powrócił do dworu.

Siadł przy drzwiach na pierwszem krześle, które spotkał, a wzrok jego biegł od pani Teresy do jej córek.

— No, płyniemy? — zapytał Ignaś, któremu pilno było jechać z Urbicz do Naci.

Berwicz musiał myśleć o czemś bardzo głęboko, bo się wzdrygnął na te proste słowa i spojrzał na Ignasia z rodzajem przestrachu.

— Płyniemy! — odparł, powstając

Kiedy wsiadali do łódki, było już zupełnie ciemno.

Zrazu słychać było pomiędzy kępami olch i łozy miarowy plusk wiosła, dopóki nie zgłuszyło go oddalenie. Potem rozległ się na rzece krzyk jakiś ostry, gwałtowny. Przeszedł dreszczem tych,

których doleciał, niewiadomo, czy wydał go człowiek, czy zwierzę, ale było w nim coś nieludzkiego.

Nad ranem, dostrzeżono u przewozu pustą łódź bez wioseł, unoszoną przez falę. Poznano łódź z Maliniec. Nikt przecież jeszcze nie pomyślał o nieszczęściu. Potem dopiero rozbiegła się straszna wieść, że ani Ignaś ani Berwicz nie dopłynęli do brzegu.

Po długich poszukiwaniach wyłowiono ich dwa ciała, tak z sobą splecione, że rozdzielić je było trudno, jak gdyby zginęli, pasując się z sobą.

Przypomniano sobie wówczas krzyk, który odezwał się i przeszedł bez echa.

Widocznem było, że gdy się łódź wywróciła, Berwicz, doskonały pływak, ratował Ignasia kosztem własnego życia i siły go zawiodły.

Ale były to tylko domysły. Dramat jaki rozegrał się na Dnieprze, nie miał świadka.

Jedna rzecz tylko była pewna: Berwicz poniósł śmierć dla rodziny, której całe życie poświęcił.

Na grobie jego te słowa wyryto.

Dr. B. DYBOWSKI

O znaczeniu i doniosłości teoryj mutacyjnych i ewolucyjnych w nauce i w życiu.

IV.

Przytoczyłem uprzednio szereg uwag, odnośnych do znaczenia i do wartości dla wiedzy i życia całego — teorji mutacyjnych, czyli jednorazowego błyskawicznego, cudotwórczego powstawania istot ożywionych, bądź to z materji organicznych i nieorganicznych, bądź też z ,,niczego", siłą woli nadprzyrodzonej.

Teorje te wszystkie mają charakter czysto cudowny, albowiem akt, powołujący istotę do życia, jest błyskawiczny; zrodzone w ten sposób gatunki nie stoją w żadnym ścisłym związku z rodzicielskim organizmem.

Jednocześnie wskazałem także na wpływ fatalny, jaki wywarły teorje rzeczone na stronę umysłową duszy ludzkiej, oduczając człowieka od ścisłego, logicznego rozumowania, opartego na obserwacjach i doświadczeniach, a dając pochop do wiary we wszelką cudowność.

Następnie podałem środek skuteczny, mogący przeciwdziałać wpływom demoralizującym, jakie wywierają kłamstwa i obłudy. Tym środkiem jedynym jest uznanie prawdy za zasadę w życiu i nauce, bo system kłamstw musi zrodzić z konieczności te wszystkie zła, które widzimy na świecie.

Oczywista rzecz, że się tu nie mówi o jakiejś prawdzie bezwzględnej, której naiwne, pierwotne społeczeństwa szukały bądź w niebie, bądź w trunkach alkoholicznych; do tych rzekomych bram prawdy jeszcze i dzisiaj dobijają się poeci, artyści, filozofowie o umyśle tępym i zalkoholizowanym. Pod prawdą rozumiemy tylko tę, którą każdorazowo nauka uznaje za taką, bo ją w danej chwili uznawać za prawdę musi, na podstawie poczynionych obserwacji. Nieraz słyszeć się daje zdanie, z ust nawet ludzi „wykształconych" pochodzące, że prawda dostępną jest tylko dla ,,rozsądnych", myślących, że ogół natomiast nie myślący, potrzebuje koniecznie kłamstwa, bo bez niego byłby zgubiony. Ci, którzy byli i są tak przeciwni kształceniu kobiet, wyznawali i wyznają z całą szczerością, że kobieta rozsądna, pozbywszy się przesądów, stanie się istotą niemoralną, że dla podtrzymania rzekomej moralności kobiet potrzebną i niezbędną jest ich głupota. Wysoki dygnitarz z ministerjum w Petersburgu wypowiadał na zebraniu otwarcie zdanie, że uważa naukę greki i łaciny za niepotrzebną w życiu, ale za środek konieczny dla ogłupiania ludzi. Patrzcie panowie — powiadał — na te nadęte figury, napompowane prawidłami greckiej i łaciń-

skiej gramatyki, wyobrażają one sobie, że posiadły wszystkie rozumy świata, że bez znajomości gramatyk klasycznych niema wykształcenia, a będziecie mieli wyobrażenie o zakresie głupoty, wywołanej studjami filologji klasycznej. Chcąc mieć dobrych urzędników, nie myślących, tak zwanych dobrych pedagogów, zdolnych ogłupiać młodzież, trzeba mieć środek na wyjałowienie ich umysłów i serc, za pośrednictwem kłamstw klasycznych i filologji klasycznej.

Wszyscy czują dzisiaj i rozumieją bardzo dobrze, że wiedza jest niezbędną dla pomyślności ludzkiej i postępu w dziedzinie agronomji, techniki etc., bo ona tępiąc przesądy, stawia prawdę naukową jako jedyny, możebny czynnik, skuteczny dla materjalnego pochodu ludzkości. Czyliżby też ze sferą życia uczuciowego miało być inaczej? Otóż i tutaj wiedza jest niezbędną, ona jedynie wyprowadzić może ludzkość z ciemnoty i mroku, w którym tonie obecnie, a niszcząc samolubstwo, zarozumiałość i pychę, wypielęgnowane przez niewiedzę i alkoholizm, dźwignie człowieka z upadku moralnego.

Ażeby unaocznić ten straszny upadek ludzkości, pozwolę tu sobie przytoczyć parę zdań, ludzi myślących, którzy się zastanawiali nad kwestjami rzeczonemi i zdali sobie sprawę z obecnego położenia.

Oto n. p. co mówi jeden z nich o poetach, artystach etc. niniejszej doby.

„Sztuka obecna jest niewątpliwą histeryczką, ale do tego stanu doprowadziło ją życie. Rzeźbiarze, malarze, poeci wzięli od swoich społeczeństw straszne zdenerwowanie, rozstrój umysłowy, przewlekłe cierpienia mózgu, nieprawidłowe ruchy serca, bezsenność w nocy, przywidzenia na jawie, zamiłowanie w podnietach ostrych, w brzydocie, marach tajemniczości“; dodam tutaj od siebie: cudowności. „Nie lubią pełnego światła słońca (prawdy), pięknych kształtów, objawów zdrowia i siły, toną w zmierzchu, ścigają upiory i stwarzają świat halucynacji. Patrząc na ich samych i na ich twory, ubolewać należy nie tyle nad ich upadkiem i upadkiem sztuki, ile nad osłabieniem energji życia“ i spaczeniem moralnem „tegoczesnych pokoleń w ogóle“.

„Jakże smutną, nieszczęśliwą i chorą musi być ludzkość, która wydaje takich artystów i ogląda bez bolu serca ich samych i ich dzieła“, rozkoszuje się nawet w ich postawach rozczochranych i w produktach ich chorego umysłu! ,,Jakże by ona była przerażoną swym stanem, gdyby się umiała zastanowić nad swoim gustem“, nad swoim upadkiem! ,,W złudzeniu sądzi ona, że można mieć potargane wszystkie nerwy, że można nosić w swem łonie wszystkie choroby społeczne“ (opilstwo, rozpustę, przewrotność, obłudę, kłamstwo, niegodziwość, niesprawiedliwość, zwierzęcy egoizm etc.) „że można doprowadzić organizm do ciągłego drżenia, lub zupełnej niemocy, a jednak pomimo to spokojnie myśleć i dzielnie tworzyć“.

,,Otóż bynajmniej! Odkąd Nabuchodonozor zaczął chodzić na czworakach, jeść trawę i myśleć jak bydlę, nie potrafił już w żadnym względzie być człowiekiem. Jeżeli więc ludzkość naśladuje Nabuchodonozora, każdy jej organ jest dotknięty tą przemianą. Człowiek bredzący w malignie, pozostający prawie przez cały czas swego życia w stanie pijanym, ma popsutą nietylko zdolność myślenia, nie tylko stronę uczuciową swojej duszy, ale on jest chory obłożnie. ,,To też komentarzów do obecnych płodów artyzmu“, do płodów polityki, do płodów socjologji szukajmy nie gdzie indziej, jak w zbydlęceniu ludzkości, a to zbydlęcenie ma swoje źródło w ogólnym alkoholizmie.

Chcieliśmy za pomocą trunków wyskokowych sprowadzić niebo na ziemię, stać się półbogami, a sprowadziliśmy piekło i w niem odgrywamy rolę djabłów. Bo cóż może być bardziej bydlęcem, bardziej djabelskiem, jak pojedyncze osobistości i całe społeczeństwa zalkoholizowane, które pozbyły się szlachetnych uczuć ludzkich.

Dr. LEGEŻYŃSKI WIKTOR.

Miejskie lecznice dla suchotników

w Malchowie i Blankenfelde pod Berlinem.

Już w roku 1887 uchwaliła gmina miasta Berlina zbudować dwa schroniska dla ozdrowieńców (Städtische Heimstätten für Genesende), gdzieby rekonwalescenci po jakiejś ciężkiej chorobie mieli zabezpieczony spoczynek i odpowiednią opiekę i to za niską opłatą a względnie bezpłatnie. Gmina berlińska była wówczas w posiadaniu 15 wsi wraz z dworami i folwarkami położonymi pod miastem a nabyła je celem przeprowadzenia w Berlinie kanalizacji systemu nasączania (Berieselungsystem). Rozległe jałowe pola piasczyste, mało lub zupełnie nieuprawne, zostają nawadniane wodą kanałową i w ten sposób użyźnione. Otóż, ponieważ tak badanie chemiczne wody zaskórnej i wody sąsiednich studzien, jak i doświadczenie lekarskie pouczyło, że owo nasączanie pól nie wywiera najmniejszego ujemnego wpływu na stan zdrowotny ludzi na polach tych zamieszkałych (szczegółowe sprawozdanie prof. Virchowa r r. 1888/89) — więc wybrano dwa dawne dwory położone w dużych parkach, przebudowano je odpowiednio i tak powstały dwa pierwsze miejskie schroniska dla ozdrowieńców, mianowicie jedno na północ od miasta przeznaczone dla 40 kobiet w Blankenburgu i drugie na południe od miasta dla 40 mężczyzn w Heniesdorfie. W następnym zaraz roku zostały oba rozszerzone częścią przez dobudowę a częścią przez ustawienie baraków Döckerowskich — z obu jednak zakładów wykluczono chorych na gruźlicę. Skoro jednak zaczęto zwracać coraz pilniejszą uwagę, że właśnie suchotnicy stanowią niezwykle wysoki procent chorych nietylko w szpitalach, ale również w Kasach chorych i pomiędzy chorymi ubogimi leczonymi na fundusz miasta — wówczas postanowiło miasto podać rękę również i tym nieszczęśliwym, i w r. 1892 otworzono nowe miejskie schronisko dla chorych piersiowych (Staedtische Heimstätte für Brustkranke) na gruntach kanalizacyjnych w Malchowie a w roku następnym, drugi taki zakład w Blankenfelde. Kierownictwo zakładu w Malchowie powierzono dr. Reuterowi, a w Blankenfelde jego asystentowi.

Przyjmowani do zakładów tych są wyłącznie tacy suchotnicy, których stan choroby pozwala rokować pewne polepszenie zdrowia, u których zatem proces chorobowy przeszedł w stadjum pewnego spoczynku, u których gorączka zupełnie ustąpiła; jednem słowem zakłady te są przeznaczone dla osób, o których można się spodziewać, że przez pobyt w zakładzie odzyskają zupełną a choćby wreszcie nawet i częściową zdolność do zarobkowania. Nie wolno zaś przyjmować do zakładów chorych, u których choroba zrobiła już znaczniejsze spustoszenia w organizmie, którzy leżeć muszą w łóżku, ciągle stale gorączkują i t. p.

Biuro urzędowe w mieście przyjmuje chorych do zakładu. Starający się o przyjęcie musi wnieść do Kuratorjum miejskich zakładów podanie, wypełniwszy formularz do tego celu przeznaczony. Kuratorjum, opierając się na orzeczeniu lekarskiem, przyjmuje chorego do zakładu, lub prośbę odrzuca. Nowi chorzy są przyjmowani w miarę opróżniających się łóżek w tym porządku, jak się zgłaszają; jednak w razie potrzeby ma Kuratorjum prawo przyjąć suchotnika też natychmiast do zakładu i to bez względu na powstające stąd koszta, gdyż te mogą być uporządkowane przez urząd miejski na podstawie odpowiednej uchwały.

Chory umieszczony w zakładzie może w nim pozostać tak długo, jak długo wymaga tego stan jego zdrowia, względnie jak długo sam chce, gdyż dowolnie może każdej chwili zakład opuścić. Ta właśnie okoliczność wpływa bardzo ujemnie na wyniki lecznicze chorych zakładowych, a to dlatego, że chory skoro cokolwiek tylko do sił przyjdzie i sądzi, że będzie mógł pracować — opuszcza zakład przedwcześnie, gnany troską o chleb dla swej rodziny i t. p. Z tego też powodu w niektórych zakładach niemieckich chory nowo przyjęty wstępując do zakładu, musi podpisać certyfikat, gdzie zobowiązuje się pozostać w lecznicy tak długo, jak długo wymagać będzie tego lekarz zakładowy, który dąży do osiągnięcia stałej poprawy zdrowia — w razie zaś niedotrzymania tego zobowiązania, gdy chory opuszcza zakład przed-

wcześnie, traci przezto samo prawo ewentualnego późniejszego powrotu do zakładu.

Dla żywienia chorych używa się potraw łatwo strawnych i niewybrednych, szczególną zaś zwrócono uwagę na to, by podawano potrawy smacznie przyrządzone i ile możności codzień odmienne. Wszyscy jadają przy wspólnym stole, a każdemu wolno nabierać potrawę tyle razy, ile ma apetyt. Każdy otrzymuje codziennie jedną flaszkę piwa lub na zlecenie lekarza kieliszek wina; lekarzowi przysłuża też prawo przepisać i większą porcję piwa. Ilość mleka dla użytku zakładu nie jest ograniczoną żadnym przepisem: dostarczają go miejskie mleczarnie w Malchowie i w Blankenfelde, założone właśnie wyłącznie do zaopatrywanta tych zakładów w mleko. Niezużyte mleko bywa przerabiane na sery. Zakład w Malchowie przy stale pełnej obsadzie łóżek spotrzebował w ostatnich latach przeciętnie 280 litrów.

Ruch chorych przedstawia się jak następuje: Do zakładu w Malchowie przyjęto ogółem (od października 1892 roku do marca 1898): 3191 chorych. Z tych opuściło zakład już w pierwszych czternastu dniach pobytu 311 chorych, a mianowicie 108 wyszło dobrowolnie, 60 wydaliło Kuratorjum (w tej liczbie są ci, którzy okazali się niegodnymi do korzystania z dobroczynności publicznej, co dopiero po bliższem zbadaniu przeszłości chorego skonstatowano), 16 wydalono z powodu niesubordynacji domowej, 123 musiało opuścić zakład jako chorzy niewłaściwie przyjęci, gdyż stan ich zdrowia nie dawał zupełnie nadzieji jakiegokolwiek polepszenia, a 4 umarło w kilka dni po przybyciu do zakładu. Ponad 14 dni przebywało w zakładzie malchowskim 2880 chorych, wynosi to 134.719 dni, czyli na jednego chorego przypada przeciętnie 46·8 dnia.

Do zakładu w Blankenfelde przyjęto w tymże czasie 1244 chorych: z tych 111 wystąpiło z zakładu już w pierwszych 14 dniach pobytu a reszta 1133 pozostawała razem 60.593 dni czyli przeciętnie jeden chory przez 53·6 dnia.

Chorych przyjętych do zakładu klasyfikuje się według tego czy u chorego sprawdzono obecność bakterji gruźliczych, dalej według stopnia choroby rozwiniętej w płucach, według równocześnie występujących komplikacji innych chorób, np. gruźlica jelit, gruźlica krtani, gorączka. W ten sposób powstały następujące grupy chorych:

1. Chorzy na zapalenie opłucnej bez stwierdzenia gruźlicy.
2. Chorzy podejrzani o gruźlicę płuc, u których jednak nie wykazano prątków gruźliczych.
3. Chorzy na gruźlicę płuc, nie gorączkujący i bez komplikacji (zdolność do pracy tylko nieznacznie zmniejszona).
4. Tacy sami, u których jednak zdolność do pracy znacznie ograniczoną została.
5. Tacy sami, u których zdolność do pracy zupełnie zniesioną została.
6. Chorzy na gruźlicę płuc trwale gorączkujący.
7. Chorzy na gruźlicę płuc nie gorączkujący z komplikacją gruźlicy jelit lub gruźlicy krtani.
8. Tacy sami, trwale gorączkujący.
9. Chorzy na chroniczny katar oskrzeli, rozedmę płuc, astmę.

Chorzy, którzy zakład opuszczają, są klasyfikowani podług tego w jakim stopniu ustąpiły tak subjektywne dolegliwości jak i objektywne zmiany chorobowe, a zatem na chorych z bardzo znacznem polepszeniem, z polepszeniem i bez polepszenia zdrowia. Prócz tego notuje się u każdego chorego przybytek wagi. Przybytek ten wynosił przeciętnie 5·64 kilograma na 46·10 dni pobytu w zakładzie.

Poniżej przyłączam wzór karty służącej do przyjmowania chorych do miejskiego berlińskiego zakładu dla suchotników:

ŚWIADECTWO LEKARSKIE

celem umieszczenia w miejskiej lecznicy dla chorych piersiowych.

(Przyjętymi być nie mogą epileptycy, syfilitycy i alkoholicy).

1. *a)* Imię i nazwisko chorego: . . . .
   b) Zatrudnienie: . . . .
   c) Zamieszkanie: . . . .
   d) Data urodzenia . . . . Miejsce urodzenia . . . Powiat . . .
   e) Nazwisko, zatrudnienie i zamieszkanie osoby opiekującej się chorym (męża, ewentualnie żony, ojca, opiekuna) . . . .
   . . . .
2. *a)* Czy chory należy do Kasy chorych i do której? . . . .
   b) Nr. książki Kasy chorych . . . .
3. Od jakiego czasu jest chory niezdolnym do pracy? . . . .

4. *a*) Rozpoznanie, trwanie i przebieg choroby; w szczególności jakie organa były przedewszystkiem zaatakowane i jaką kurację przebył chory? . . . .
   b) Czy w rodzinie chorował jeszcze kto na gruźlicę? . . . .
5. Czy można się spodziewać, że przez pobyt w zakładzie chory odzyska zdolność do zarobkowania? . . . .
6. Czy chory gorączkuje? . . . .
7. Czy zachodzi potrzeba zmiany w zwyczajnym sposobie odżywiania lub leczenia chorego i jaka? . . . .
8. Uwagi . . . .

Niniejszem zobowiązujemy się ponosić koszta pobytu N. N. . w miejskiej lecznicy po dwie marki dziennie przez . . . . tygodni t. j. aż do dnia . . .
W Berlinie d. . . . 189 . .
(podpis)

Niżej podpisany poleca chorego N. N. . na podstawie powyższych zgodnych z prawdą okoliczności do przyjęcia do miejskiej lecznicy dla chorych piersiowych na przeciąg . . tygodni.
(podpis lekarza)

Na drugiej stronie formularza.

Chory . . . . . został przyjętym na przeciąg . . . tygodni. Chory ma się stawić w miejskim zakładzie w . . . . . w dniu . . . 189
Nr. książki przyjęcia . . . .
W Berlinie . . . . . datum . . .
Biuro miejskich lecznic.

Chory . . . . przybył do zakładu dnia . . . . o godzinie . . . . . i został zapisanym do księgi chorych pod liczbą . . . . .
Datum (podpis)
. . . .
Siostra Miłosierdzia kierująca zakładem.

Pobyt w zakładzie przedłużono na . . . . tygodni.
W Berlinie . . . . datum . . .
Biuro lecznic miejskich.

Pobyt w zakładzie przedłużono na dalsze . . . . . tygodni.
W Berlinie . . . . datum . .
Biuro lecznic miejskich.

Chory . . . . opuścił zakład w dniu . . . . o godzinie . . . . i udał się do . . .
Datum . . . .
. . . .
Lekarz domowy.

(D. n.)

STIG STIGSON (ALFHIL AGRELL)

Janek Słoneczny.

Przekład A. CALLIEROWEJ.

Szedł naprzeciw mnie tu, ot drogą, jak potok słonecznego światła. Głowę otaczał mu włos jasny w gęstych puklach, oczy miały błękit jeziora, gdy rankiem budzi się ze snu, uśmiech był uśmiechem szczęścia, a mowa była śpiewem. U kapelusza miał pęk konwalji, drugi takiż u piersi, a w ręku trzymał wielki bukiet tych samych kwiatów, z ziemią jeszcze u korzeni.

Krok jego był lekki, a od chwili do chwili przyciskał twarz do ramienia, jak gdyby tam pod surdutem niósł jakiś skarb ukryty.

Miał na sobie ubranie turysty i przywołał mnie, by się dowiedzieć, czy do wsi daleko,

Ja zaś jak raz wówczas tak okropnie stęskniony byłem za dźwiękiem ludzkiego głosu — namarzyłem się i namyślałem przedtem właśnie aż do znużenia i żądny teraz byłem możności

ukochania — on zaś był tak wspaniały! Wcielony bóg słońca!

Nigdy przedtem serce nie ciągnęło mnie tak nieprzeparcie do żadnego obcego człowieka — nigdy! Po prostu, nie mogłem przemódz na sobie, by go tak zaraz puścić dalej i rzekłem w tonie prośby niemal:

— Słońce zajdzie za chwilę, panie — czy nie zechciałbyś odpocząć u mnie? Do wsi droga jest stroma, wśród gór i nużąca bardzo. Musisz być zmęczony?

— Zmęczony?

Trzeba ci było, panie, słyszeć ten śmiech jego! Wybuchnął jak tańczący po kamieniach strumień, jak tryumfalny hymn młodości. Potem skinął mi głową i poszedł dalej w drogę. Zapewniam pana, że wydało mi się, jak gdyby przed chwilą wszystko szczęście świata stało przed moją chatą i odmówiło mi wstąpić do niej. Wstyd mi przyznać się, ale szedłem za nim, jak się idzie za światłem.

Moje długie, uginające kolana, kroki leśnego wędrowca sprawiały łoskot spadających z gór kamieni, wobec jego lekkiego, rytmicznego chodu. Słyszałem to, a jednak nie zatrzymałem się.

Nagle on się odwrócił.

— Czemu idziesz za mną, stary? — spytał.

Stary! Mnie tak nazywać, mnie, com był w pełni sił męskich! Ale z jego ust nie obraziło mnie to słowo. Przeciwnie, schyliłem głowę w świadomości mej winy. Nie miałem przecież prawa go ścigać.

Więc zaśmiał się znowu, ale teraz przenikliwym, porozumiewającym nieco, dumnym i zwycięzkim śmiechem kobiety. Potem skinął na mnie, a ja poskoczyłem ku niemu i po chwili szedłem już obok niego, tym samym co on młodym, śmiałym krokiem.

Dowiedziałem się, że jest studentem i że go zowią Jankiem. Jakie obok tego imienia nosił nazwisko, nie trudziłem się zapamiętać nawet. Dla mnie już wówczas był on „Jankiem słonecznym“ i „Janek słoneczny“ wypisany też jest na tym grobowcu, który mu postawiłem w mojem sercu.

Mówił szybko, cokolwiek urywanym głosem, bezprzestannie odrzucając w tył głowę, aby wszystko co godne było widzenia raz z prawej, to z lewej znów strony wchłonąć, zda się, w siebie.

Miał on dar odkrywania cudów, panie, to spostrzegłem zaraz, i dar ich rozumienia. Czoło miał myśliciela, marzyciela spojrzenie, usta dziewczyny, te usta niezerwanego jeszcze róży kwiatu.

— Czy nie boisz się sam jeden tak wędrować pośród leśnego pustkowia? — spytałem go nakoniec, tak już trwożny o niego, jak matka o swego najmłodszego, spóźnionego ulubieńca.

— Bać się? — Zaśmiał się głośno. — A ty czy boisz się stary?

— Tak — odpowiedziałem pokornie. — Tutaj człowiek staje się lękliwym, bo się czuje zawsze najsłabszym, najmniejszym.

Piękne jego dziewczęce usta skrzywiły się buntowniczym wyrazem dumy; potem przyśpieszył kroku i zamienił je na rodzaj kołyszącego rytmu, który mnie upoił niemal poczuciem młodości i odwagą młodości.

— Czy byłeś także nieszczęśliwym? Powiedz stary? — wybiegło pytanie z pośród owiewającego nas powietrza.

— Tak — odpowiedziałem również pokornie. — Jakże inaczej zdołałbym poznać szczęście?

Piękny łuk warg wygiął się ponownie w urągliwym buncie krwawej purpury.

— Oczywiście, oczywiście — rzekłem. — Któż mógłby się przemódz do tyla, aby t o b i e sprawić jaką przykrość?

Drgnął cały i wpatrzył się nieruchomo przed siebie. Mnie zdało się, jak gdyby z błękitnych jego oczu padała teraz ciemność w blask słoneczny dokoła niego. Ale jedno tylko krótkie mgnienie oka trwał ten cień. Potem zaśmiał się znowu i gawędził dalej swobodnie.

— Matka miała lat szesnaście, ojciec dwadzieścia jeden, kiedym ja się narodził. Z czegoś takiego powinnaby wyniknąć radość, rozumiesz, starcze? A jednak na mnie spłynęła nienawiść. A czy wiesz kto mnie nienawidził? Matka, tak, ona, która jedno tylko umiała całkowicie: pamiętać, że kiedyś miała lat szesnaście!

Urwał nagle i ścisnął konwalje w ręce tak gwałtownie, że aż zadrżały całe w trwodze śmiertelnej.

— Sprawiasz im ból — rzekłem z prostotą. Natychmiast zanurzył okaleczałe kwiaty w strumieniu, a potem położył je delikatnie i ostrożnie na płaskim wierzchu podróżnego tańca.

— Nie powinieneś sądzić, stary, że litować się należało nademną! O, nie! Wesela nikt nie

mógł nigdy wydrzeć mi z duszy, a ojczym, szyld imienia wybrany przez rodziców, kochał mnie tysiąckroć więcej, niż własne swoje obłaskawione powszednie potomstwo!

Łzy były w jego głosie -- dla tego, który umiał słuchać dobrze. Długo snać ciążyły mu te myśli i długo go bolały — moja sympatja była dla nich lancetem. — Ale potem... Jak promiennie szczęśliwym był on jednak, jak pięknym, jak godnym miłości. Mówił o przyrodzie, o Upsali, o swoich towarzyszach, o radości, jaką mu sprawia praca, o pracy tej celu. „Żyć w słońcu i w słońcu umierać — przez to, że się żyje życiem dla dobra innych“.

Cień coraz głębiej wrzynał się gzygzakami w wierzchołki lasu. Wiedziałem, że go muszę opuścić, a jednak szedłem za nim, tchórzliwie lękając się, że może nigdy go już nie ujrzę, raz rzuciwszy.

Droga była męcząca, bezgraniczne bagniska i niebotyczne góry — nakoniec opuściła go cierpliwość.

— Czy niema krótszej jakiej drogi? — spytał niecierpliwie. Młodość w nim znużyła się już tą „wieczną jednostajnością“.

— Tak — odpowiedziałem spokojnie. — Jest krótsza droga, ale niedostępna prawie, bo mgły wiosenne nie ustąpiły jeszcze, a i kiedyindziej jest ona niemożliwą.

— Teraz ty się boisz stary! — zaśmiał się wesoło.

— Istotnie — odpowiedziałem. — Obawiam się za dwóch — a raczej za dziesięciu!

Uścisk jego dłoni, kiedy wreszcie przemogłem się, aby się z nim rozstać, rozgrzewał gdzieś aż do głębi serca. Krew słoneczna inne daleko daje ciepło, niż krew zwyczajna.

— Wiem, że mnie nigdy nie zapomnisz, stary! — zawołał dźwięcznym swym głosem, w którym brzmiało nieco pewności zwycięzkiej. Znał swą potęgę. Czy dziw zresztą?

Ręką skinąłem na znak potwierdzenia słów tych. Naraz zawrócił, podbiegł, zarzucił mi ramiona na szyję, ucałował i wcisnął w rękę jeden z bukiecików konwalji.

Potem puścił się dalej w drogę, skąpany w promieniach słońca, a ja skręciłem w stronę lasu napowrót, samotny, bezdzietny...

Nie wiem jak długo tak szedłem, może pół godziny, może więcej, kiedy nagle nogi moje zatrzymały się jakby przed rozwartą, ziejącą przepaścią i lodowato-zimny pot wystąpił mi na czoło. Za stary byłem, aby do czegoś podobnego nie przywiązywać wagi. Do kogo jednak odnosiła się ta przestroga, dla kogo była znakiem?

— ,,Niebezpieczeństwo, niebezpieczeństwo!“— rozległo się dokoła mnie zewsząd wpowietrzu. — ,,Niebezpieczeństwo! niebezpieczeństwo!“

Boże najwyższy, dla kogo to było złą przepowiednią?

Pośpiesznie zawróciłem i począłem biedz, nie wiedząc sam dokąd i dla czego. Wtem stanęła przedemną pewność, jak oszczep wbity w samo serce.

Janek, Janek słoneczny, tam, opuszczony, sam jeden pośród moczarów, ziejących śmiercią,.. do niego odnosiła się ta zła wróżba!

Boże najwyższy, czemuż ja mu powiedziałem, że jest bliższa droga!

Teraz chodziło o namysł, o szybki namysł. A ja namyśliłem się wówczas szybciej, niż przebiega myśl sama. Skręciłem, przerżnąłem w poprzek okrążający łuk drogi i począłem biedz, spokojnie, z obliczeniem, bo wiedziałem już, z kim ścigam się teraz.

Kiedym wyszedł na trakt, widzę Olofa ze Sjö, jak stoi i wpatruje się bezmyślnie, z twarzą zwróconą w stronę trzęsawisk.

Więcej nic mi nie było potrzeba, aby pojąć sytuację. Olof był wpół-idjotą, który ilekroć miał coś donieść, rozpoczynał zawsze od najmniej ważnej rzeczy. Naturalnie musiał zacząć opisywać, dokąd prowadzi ta droga, zamiast powiedzieć mu, że tam śmierć czeka tego, co nie zna każdej kupki, każdego źdźbła trawy, każdego odcienia roślinności.

Ale czasu nie było teraz na zgryzoty!

Zawołałem na Olofa, żeby conajprędzej z najbliższej chaty Karola zagrodnika, postarał mi się o sznury, a sam rzuciłem się ku trzęsawisku, co krwawo-czerwone płonęło w blaskach zachodzącego słońca, ponętne, urocze, jak kwiatami strojne łono kobiety.

Boże, Boże, czemużeś do tego dopuścił! Nigdy chyba żadne nogi nie biegły z taką chyżością, jak moje wówczas, a przecież obrachowywałem bezustannie krok każdy, każdy oddech.

Musiałem go dognać. Musiałem!

Aż po skałę Rufstein nie było jeszcze tak wielkiego niebezpieczeństwa: do tego miejsca dość było tylko trzymać się drogi.

Nakoniec ujrzałem gdzieś w oddali cień, który coraz wzrastał, to znowu się kurczył, cień o trzech ruchomych ramionach.

Był to on z wysokim swym podróżnym kijem.

Szedł tak lekko, że nawet chwiejne trzęsawisko pod jego stopą zdało się pewnym gruntem.

Nie śmiałem wołać przez obawę... Jeden jedyny krok fałszywy mógł tu już wystarczyć. Trzęsawisko coraz krwawszą płonęło czerwienią, a tysiączne jego drobne kałuże wody poczęły migotać, niby okrutne, jakieś ssące oczy.

Gdybyż tylko u Rufsteinu zwrócił się na prawo, gdzie droga zakreślała łuk szeroki, w takim razie byłby ocalonym. Ale własnie na lewo rozciągało się trzęsawisko, tak wabne, a tak piękne — a ścieżka na nim wydawała się tam właśnie tak bezpieczną i ubitą.

Teraz spostrzegłem, że krzyż postawiony tam niegdyś dla przestrogi podróżnych, zwalony został przez wichry — może już od dawna. Toć tędy nikt niemal nie chodził.

Nie miałem czasu dłużej iść ścieżką; biegłem na przełaj, biegłem po wyciągniętych ku mnie rękach śmierci, panie, ale ja uciekłem przed nią.

Janek słoneczny był teraz u Rufsteinu. Stanął, zawahał się...

Modlitwa nie miała czasu wybiedz z ust moich, panie, ale bez przerwy niosłem ją w sercu.

Czy to strop niebios zapada, czy gwiazdy, zagasają, czy to ziemia rozsypuje się w gruzy i płonie ogniem?

Tak mnie się zdało w tej chwili... On zwrócił się na lewo.

Teraz wołałem już:

— Janku, Janku słoneczny, na pomoc, na pomoc, stary umiera! Janku, Janku, na pomoc!

Nigdy pewnie głos ludzki nie ozwał się rozpaczliwszem wołaniem, ale wiatr, co w dali hula na moczarach, pochwycił również i potargał go na strzępy. Pot trwogi na mojem czole zamienił się w zimny pot śmiertelny, a jednak przemogłem się, przyklękem, aby wśród spokoju głos mój nabrał większej mocy.

Wtem zobaczyłem, że trzęsawisko, zda się, oddycha, dyszy. Boże, dopomóż mu! Dyszało ono, dyszało, żądne zdobyczy.

Przyłożyłem ręce do ust i krzyczałem głośno, niemal nieludzkim już głosem:

— Janku, Janku słoneczny, zawróć! Stary umiera!

On nie posłyszał mnie, a moczar dyszał coraz gwałtowniej, jasne, wodniste na nim oczy migotały coraz pożądliwiej, a czerwień jego coraz głębszym tonem wpadała w barwę krwi.

Zrzuciłem z siebie zwierzchnie ubranie, rozdarłem koszulę — nie biegłem już — przeskakiwałem.

Już mogłem rozróżnić konwalje na jego rańcu, i słoneczno jasny włos na karku. Widziałem go, nietylko jako kształt już, ale widziałem jego,

Wtem...

Boże, Boże, dlaczegoś do tego dopuścił! Dlaczegoś na to zezwolił!

Krzyk, który posłyszałem, nie był mocnym, nie był głośnym, ani owym nieestetycznym, wyjącym krzykiem trwogi śmiertelnej. Raczej podobnym on był do dźwięku pękającej u skrzypiec struny.

Śmiertelny pot na mojem czole stał się gorącym; każdy nerw naprężył się we mnie, teraz, kiedy chodziło o uratowanie go od rzeczy już pewnej.

— Nie ruszaj się, mój chłopcze! — wołałem — Nie poruszaj się! Już idę.

Odwrócił ku mnie głowę i uśmiechnął się do mnie, uśmiechnął, panie. Potem pobiegło coś miękkiego, zielonego przez powietrze na skałę — to był jego pugilares, „pamiątka“, którą mi niedawno pokazywał.

Och, to poruszenie, to poruszenie! Ale widocznie już danem mu było najpierw myśleć o innych, a potem dopiero o sobie.

Skała posłużyła mi za grunt stały i walczyłem o niego, panie, walczyłem z siłą męzką, w dziesięćkroć wzmożoną.

Ale cóż zdołają siły ludzkie przeciw tym tysiącom wchłaniających śmierci!

Naprzód w głębi jego oka pociemniało; rozpacz w niem zamieszkała, zamieszkała w niem cała młodości drżąca tęsknota za życiem. Ale kiedy spostrzegł, że jestem za słabym, wówczas podziękował mi, rozejrzał się dokoła dalekiem, szerokiem spojrzeniem, zwrócił głowę ku słońcu,

zamknął oczy, uśmiechnął się i położył na spoczynek na falującej powierzchni trzęsawiska, tak spokojnie, jak gdyby to było łono matki, za której miłością tęsknił tak długo a tak nadaremnie.

Przez całą minutę płonęło trzęsawisko z tym cudownym kwiatem ludzkim... Potem radośnie, tryumfalnie wchłonęło go w swym oddechu...

* *
*

Przez dzień cały siedziałem nieporuszony na wyskoku skały i patrzałem osłupiały na moczar, więcej martwy, niż on tam, bom nie widział nawet słońca.

Olof, który nadszedł, jakkolwiek już za późno, pozostał przy mnie przez kilka godzin, potem poszedł sprowadzić ludzi na pomoc. Całe miesiące przeleżałem w łóżku, śmiertelnie dotknięty na duchu.

Proboszcz znalazł pugilares i napisał do rodziców; ale dopiero w końcu lata przybyli tutaj, aby „zobaczyć miejsce“.

Matka, która nie umiała całkowicie nic więcej, jak pamiętać o tem „że kiedyś miała lat szesnaście“, powszednia kobieta, jakkolwiek piękna, otulona była w długi welon krepowy i płakała powszedniemi łzami, ojczym natomiast pełen był odświętnego, uroczystego płaczu.

Podówczas, panie, przyszła mi ochota podniesienia się z łóżka. Zachciało mi się tam mu towarzyszyć.

Ona nie miała iść z nami, jakkolwiek prosiła o to i droga w jesieni tylko była bezpieczną dostatecznie. Nie, ona nie powinna tam iść, nie powinna.

A ojczym opowiadał, jak kochanym był ten chłopiec, jak wszyscy koledzy upsalscy z tych samych stron pisali do nich, wyrażając im swe współczucie — jak kochali go wszyscy, prócz może jednej...

Tu urwał i zakaszlał.

Mówił wciąż tylko o chłopcu, jaki to był wspaniały człowiek, jak dobrym był dla rodzeństwa, jak dobrym dla wszystkich, a jak utalentowanym, jak zdolnym. W szkołach dostawał zawsze najlepsze stopnie! Opowiadał a płakał, płakał i opowiadał, ale ja nie płakałem, ja, panie... serce matki takiem bywa czasami!

Przywieźli z sobą krzyż marmurowy, ale gdy go odwożono na moczary, uszkodził się. Przysłali nowy, ale temuż samemu uległ losowi. Jemu, Jankowi słonecznemu krzyż! Przytłoczyłby go tylko.

Pochyl się nieco naprzód, panie, tam ot daleko, hen daleko! Czy widzisz tam w oddali na trzęsawisku, jak tam błyszczy coś białego pośród migotliwych barw czerwono-żółtych?

To konwalje, jego konwalje! Wyniosłem je tam, krzaczek za krzaczkiem i zapuściły korzenie, panie, tuż koło niego zapuściły korzenie.

Czyliż dla tego młode jego życie słoneczne zapłonęło i zagasło — aby tam na moczarach mogły wyrosnąć konwalje? A może stało się to dla tego, abym ja, samotny, zaznał co to radość i boleść matki? A może dla tego, aby raz wreszcie pobudowano tam tamy? Kto wie? kto to wie? Ludzie żyją czasami dla tak dziwnie drobnego celu — i dla tak dziwnie wielkiego czegoś. W gazetach z owego roku możesz przeczytać całe to zdarzenie.

Rubryka nosi tytuł „Okropna śmierć„.

Ale czy ona była okropną?

Nie miałaż ona może dopełnić tylko programu jego życia, „życia w słońcu, śmierci w słońcu!“ Jak niewielu ludziom to jest przeznaczonem.?

Jednak....! Gdybym... ja... tylko wówczas nie był mu powiedział... tego... o drodze!

Gdybym tylko tego nie powiedział!

Jak potok płynący słonecznego światła wyszedł ku mnie po tej ścieżynie... jak potok płynący słonecznego światła!

Tak młody — tak — piękny — tak...

Przebacz mi te łzy, panie. Przez lat trzydzieści napływały mi one z serca, takem tęsknił za niemi, ale teraz dopiero spłynęły wreszcie.

Z PIŚMIENNICTWA i SZTUKI.

KSIĄŻKI. Stanisław Przybyszewski: *Poezje prozą*. J. Fiszer, Warszawa 1902. — Są to rzeczy przeważnie znane, dawne utwory lub ich fragmenty — pod nowymi tylko tytułami („Ametysty“ dawniej „In hac lacrymarum valle“, „Toledo“ z „Androgyny“, „Odwieczne źródło“ ze „Synów ziemi“ i t. p.). Nie przyrzucają też żadnego nowego typowego rysu do charakterystyki autora „Wigilij“, a robią wrażenie, jak gdyby żeniec wyszedłszy pod wieczór na łan pusty, zbierał pozostawione na nim w dzień żniwa kłosy, wyjmował inne ze snopów już skopionych — i w nowy snop je powiązał. Znamy już ten przepych słowa, który, niestety, często jest tylko powierzchnią i te tak piękne nieraz i silne wizje na kosmiczną tęsknotę duszy transponowanego erotyzmu, te obłędne litanje chuci i hymny o bezdennym smutku, śmiałe do zbytku nieraz zwroty i porównania... Obok miedzi brzęczącej są i tu perły, perły prawdziwe stylu i nastroju jak np. poemaciki p. t. „Introibo“ albo ten pamięci Słowackiego poświęcony, z którym ani rusz uporać się nie mógł w „Kraju“ p. Gomulicki. Zapewne, Słowacki Przybyszewskiego nie jest — Słowackim, podobnie jak Chopin jego nie jest — Chopinem, co nie przeszkadza bynajmniej żeby w intrepretacji jego nie mieli być... prawdziwą poezją: kawałkiem natury (w tym wypadku: poetyckiej) widzianym przez pryzmat temperamentu, pryzmat w tym wypadku bardzo indywidualny. *Avis au lecteur*. Okładka piękna tej książki (w dwóch kolorach: złotym i niebieskim) jest dziełem zasłużonego już na tem polu młodego artysty T. Noskowskiego z Warszawy.

A. C.

*

Bajki Jana Lemańskiego. Warszawa, nakładem Jana Fiszera 1902.

Współpracownikowi „Chimery“ p. Lemańskiemu przypada w udziale niemała zasługa wskrzeszenia w naszem młodem piśmiennictwie obumarłej już prawie formy bajek. Nic dziwnego, że w czasach przewagi elementu subjektywno-nastrojowego w sztuce, większość form epickich, coraz bardziej i u nas wychodzić zaczynała z użycia i że ten sam los spotkał pomiędzy innemi i formę ezopową, w której niegdyś prym w rzeczypospolitej dzierżył ksiądz biskup warmiński. Nie było poprostu w umysłach należytego skupienia się a może i siły a raczej spokoju, ażeby w ten kształt klasyczny tchnąć duszę współczesną, rozlewającą się często na szerokość bardziej aniżeli na głębokość i pragnącą gorączkowo wypowiedzieć się jaknajbezpośredniej i z jaknajwiększą swobodą. Ożywić ten kształt bądź co bądź już skostniały, „uwspółcześnić go“ jednem słowem — było trudnością nielada, wymagającą nietylko talentu, ale i specjalnego temperamentu o przewadze pierwiastku refleksyjnego a o poważnym podkładzie... satyrycznym. P. Lemański (autor osławionego sonetu o „grążelach“, w którego szczerość pozwalam sobie powątpiewać) pokonał trudność tę, pierwszy u nas a może nawet wogóle pierwszy w literaturze najnowszej. Bajki jego trzymając się zasadniczego schematu oraz tonu tej klasycznej formy, są poezją nawskroś współczesną. Charakter ten nosi już sama ich forma zewnętrzna, ogromnie ożywiona i urozmaicona w swych lafontaine'owskich konturach, które często zacierają się w nowych strofach... lirycznych, w przenośni jakiejś lub w grze wyrazów, na widok której oburzyliby się Trembeccy lub Morawscy. Tak samo zupełnie ma się rzecz i z treścią. Element subjektywno-satyryczny wybija się z niej co chwila — nigdy jednak nie rozsadzając formy, ani szkodząc realistyczno-nastrojowej plastyce obrazu. Każda z bajek Lemańskiego ma poważny podkład satyryczny ogólno ludzki a czasem narodowy (Grobla, Wilk i Cielę). Postacie zwierzęce, które w nich występują nietylko, że z wielką konsekwencją przeprowadzone są, jako symbole satyryczne, ale ponadto żyją jeszcze własnem życiem indywidualnem i świadczą o wielkiej znajomości, zrozumieniu i odczuciu przyrody. Ponad bajkami Lemańskiego unosi się wiele subtelnej, choć często gorzkiej głęboko ironji, która jednak zawsze (nawet w obrazach natury trywjalnej) przemawia wytwornie i artystycznie, a jeżeli czasem wzbierze zbyt silnie, to wtedy czuć wyraźnie (w myśl motta z Juvenalisa zaczerpniętego)... że „*indignatio fecit versum*“.

A. C.

*

Udziela Seweryn. *Świat nadzmysłowy ludu krakowskiego, mieszkającego po prawym brzegu Wisły. Wielkoludy; Czarownice i Czarownicy; Choroby.* (Odbitka z XIV. tomu „Wisły“.) Warszawa 1901. 8-ka, str. 70.

Autor wymienionego zbioru materjałów folklorystycznych znany dobrze i zapisany chlubnie na kartach etnografji polskiej, daje obecnie kilkadziesiąt baśni wraz z ich odmiankami, tyczących się przeważnie mitologji ludu tak rdzennie polskiego, jakim są Krakowiacy. Przedewszystkiem na pochwałę tego zbiorku trzeba powiedzieć, że wszystkie opowiadania zapisane zostały wiernie tak, jak je p. Udziela słyszał, t. j. w gwarze ludowej. Podwójny jest stąd pożytek, bo i dla etnografa, który ma zapewnioną ścisłość opowiadania i dla badacza gwar polskich. Ponadto zauważyć musimy fakt nader charakterystyczny, że wierzenia ludowe w czarownice i moc czarów, są w Krakowskiem i dzisiaj tesame, jak w wieku XVII i XVIII., co okazuje się z porównania ich z dawnymi procesami sądowymi o czary. Co więcej okazuje się, że istoty świata nadprzyrodzo-

nego ludu krakowskiego mają wiele cdch wspólnych z takiemiż istotami, żyjącemi w wyobraźni innych ludów słowiańskich, zwłaszcza Serbo-łużyczan.

St. Zdziarski.

SZTUKA. *Miniatury Muzeum Narodowego.* Opracował Emanuel Świeykowski. Kraków 1902.

Tomik ten wytwornie wydany rozpoczyna szereg wydawnictw Muzeum Narodowego w Krakowie, opisujących te zabytki, które dostały się do muzeum. Zarząd muzeum t. j. niestrudzony jego dyrektor p. Feliks Kopera zamierza w ten sposób wydać po kolei katalogi wszystkich działów, a w przyszłości w miarę funduszów szereg publikacyj popularnych i gruntownych, w których pomieszczone będą przedmioty objaśniane tymi okazami, które są w muzeum bądź to w oryginałach, bądź to w reprodukcjach i w ten sposób ma nadzieję dojść do zwięzłego wykładu historji sztuki i kultury w Polsce... W przedmowie wspomnianego dziełka omawia p. Swieykowski historję malarstwa miniaturowego od czasów najdawniejszych. Właściwa miniatura portretowa (malowana akwarelą lub guaczem na welinie, pergaminie lub kości słoniowej) rozwija się dopiero w w. XVI. — z miniatury rękopiśmiennej. Wprowadza ją (okok Hollbaina) pierwszy Francuz Jehan Fouquet. Malarstwo miniaturowe kwitnące odtąd we Francji, Niederlandach, Niemczech i Włoszech podupada następnie zwolna prawie zupełnie, podnosi je dopiero w pierwszej połowie w. XVIII. sławna Wenecjanka Rosalba Carriera, która pierwsza w miejsce wyłącznie dotychczas używanego pergaminu wprowadza kość słoniową. Epoką najwyższego rozkwitu miniatury staje się druga połowa w. XVIII. We Francji występują Fragonard, Szwed Hall, pani Vigée Lebrun, w Anglji Cosway, w Niemczech Iswaée, Rafaelmengs, Angelika Kauffmann i w. i. Wybija się coraz bardziej na plan pierwszy portret miniaturowy, który następnie za dyrektorjatu, konsulatu a wreszcie cesarstwa reprezentują głównie Francuzi: Augustin i Isabey, oraz uczeń tego drugiego Guerin. W Polsce malują miniatury: Taubert, Bechon, Bacciarelli, Rajecka, Lesserowicz, Kosiński, Norblin, Grassi, Stachowicz, Peszka, a zagranicą: Chodowiecki i Kucharski. Później, głównie za czasów Księstwa warszawskiego, występują okok większości powyżej wymienionych: Klimke, Sonntag, Laub, Weixlbaum, Kapeller, Harr, Wańkowicz, później jeszcze panie de Mirbel, Herbelin, hr. Walerja Tarnowska, Brzeziński, Bartus i inni. Z końcem pierwszej połowy w. XIX. miniatura podupada zupełnie... Zbiór miniatur Muzeum Narodowego reprezentuje przeważnie portret miniaturowy z drugiej połowy w. XVIII. i pierwszej połowy XIX w.; zaledwie kilka okazów z XV. XVI. i XVII. w. objaśnia nam stopniowe przejście od miniatury rękopiśmiennej do portretowej. Wszystkie okazy (w liczbie przeszło 180) zostały w książeczce p. Swieykowskiego starannie jaknajdokładniej opisane i sklasyfikowanych a dwanaście ciekawszych z pomiędzy nich odtworzono nawet we wybornych reprodukcjach. Spotykamy tu portrety Augusta III., Stanisława Augusta, Kościuszki, Maryli Wereszczakówny i t. p. Od miłośników sztuki i kultury polskiej należy się szczera wdzięczność dyrekcji Muzeum Narodowego i autorowi tej książeczki za tę skromną, niemniej jednak wartościową publikację artystyczną, po której oby jaknajprędzej dalsze zapowiedziane nastąpiły. *A. C.*

NOTATKI. *Medal na cześć dra Małeckiego.* Ubiegłego tygodnia otrzymał zasłużony badacz polskiego języka i historji dr. Antoni Małecki z rąk senatu akademickiego medal złoty, na cześć jego jubileuszu w tym roku obchodzonego, wybity. W pomieszkaniu sędziwego historyka jawiła się deputacja senatu akademickiego i filozoficznego wydziału uniwersytetu lwowskiego, a przewodniczący jej rektor dr. Rydygier przy wręczaniu upominku jubileuszowego podniósł niespożyte zasługi dra Małeckiego na polu nauki polskiej. Źródłowe prace historyczne i monograficzne, a zwłaszcza prace lingwistyczne zapewniły imieniu Małeckiego świetną kartę w dziejach literatury naszej i sprawiły, że stał się on Wszechnicy lwowskiej chlubą i ozdobą, a pamięć zasług jego, jako długoletniego profesora na katedrze literatury polskiej nigdy nie zgaśnie.

Wykonawcą medalu jubileuszowego, będącego dziełem prawdziwej sztuki, jest artysta rzeźbiarz p. Lewandowski. Złoty medal wybito w jednym tylko egzemplarzu, który właśnie ofiarował lwowski uniwersytet jubilatowi, nadto wykonano pewną ilość egzemplarzy w srebrze i bronzie. Na pierwszej stronie medalu widnieje oblicze dra Małeckiego, twarz szlachetna mędrca i myśliciela, wywołana w metalu z całym artyzmem, aż do najdrobniejszych linij i szczegółów. Na stronie odwrotnej widać dwa berła uniwersyteckie, związane wawrzynowemi gałązkami, symbol hołdu uniwersyteckiego, a zarazem napis „w ośmdziesiątą rocznicę urodzin — Uniwersytet lwowski“. Całość przedstawia się nadzwyczaj pięknie i mile dla oka, a stanowić będzie niewątpliwie, jak z jednej strony miłą pamiątkę dla jubilata, tak znowu ze strony drugiej na zawsze pozostanie świadectwem hołdu złożonego uczonemu... przez uczonych.

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego 8